Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Kolekcja
Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna CZYTELNIA w Opolu

Nr. 52 Lwów — Styczeń 1929 Rok VI

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 90 gr.

W LEGENDARNYM SULEJÓWKU

Dziś, gdy oczy całej Polski zwrócone są na Tego, który przed 10 laty zdobył Jej niepodległość, a następnie wroga wypędził i utrwalił granice — nie może ujść uwagi publicznej także miejsce, które przez długie lata ubiegłe było kuźnią wielkich postanowień Marszałka Piłsudskiego i Jego najmilszem schronieniem: Sulejówek, legendarny już dziś Sulejówek.

Chociaż w życiu Marszałka odegrał wielką rolę pałac belwederski, w którym w ciągu 10-lecia królował najpierw, jako Naczelnik Państwa, potem wypędzał zeń niedołęgów, a następnie znów stamtąd rządzi już 3-ci rok Polską, mimo to Sulejówek nie przestał być właściwym domem Marszałkostwa Piłsudskich, do którego na każdą wolną chwilę zjeżdżają, gdzie spędzają wszystkie święta i gdzie czują się najlepiej.

Sulejówek, letnisko podwarszawskie, należące do gm. Okuniew i oddalone od stolicy o 28 klm., jeszcze przed 10-u i przed 8-u laty nie różnił się niczem od innych letnich siedzib Warszawy.

Dopiero od chwili, kiedy po zmianie rządu w 1923 r. Marszałek Piłsudski usunął się od czynnej służby w cień domowego zacisza, Sulejówek stał się głośnym i uczęszczanym.

Odtąd co roku w dniu św. Józefa ciągnęły istne pielgrzymki wojskowych i cywilnych do białego dworku, by złożyć hołd jego wielkiemu samotnikowi, który nie przestał być rządcą dusz w narodzie, mimo iż władza formalna w innych spoczywała rękach.

Do tego białego dworku p. Marszałka, dobrze ukrytego w cieniu drzew sosnowych przed okiem natrętów, poprowadzimy naszych czytelników, otwierając przed nimi bramy „Małej Uliny".

Tak odtąd bowiem zwać się będzie 3-morgowa posiadłość Marszałkostwa Piłsudskich na pamiątkę owego sławnego marszu 75-kilometrowego I-szej Brygady pod wodzą samego Komendanta, przerzynającego się mocą wśród kolumn nieprzyjacielskich w listopadzie 1914 r.

Dawna nazwa „Milusin", nabyta wraz z drewnianą willą, zniknęła w lecie tego roku razem ze starą bramą i ogrodzeniem, które zastąpiły nowe sztachety wzdłuż całego frontu od strony ul. J. Piłsudskiego.

Szeroką aleją dochodzi się do drewnianej dyżurki posterunku żandarmerji z centralką telefoniczną, która łączy „górę" białego dworku z Warszawą via Rembertów wojskowy.

Naprzeciwko również drewniana stara willa piętrowa, która dawniej służyła za mieszkanie Państwa Marszałkostwa, teraz zaś jest siedzibą paru rodzin wojskowych.

O kilka kroków dalej wznosi się biały dworek, który swemu ukochanemu Komendantowi zbudowały przed 5 laty wierne serca żołnierskie — z drobnych bowiem dobrowolnych ofiar całego wojska, zebranych przez „Komitet Żołnierza Polskiego", powstał ten przepiękny dar miłości synowskiej.

W lecie okalają go gazony żywego kwiecia, wśród których nie brak nawet róż — chluba to i duma p. Marszałkowej, która wyhodowała je na piaszczystym gruncie, dzięki usilnym swoim zabiegom.

Tu rosną także lipki, zasadzone ręką p. Marszałka i pnie się po kolumnach tarasu prawdziwe winne grono, które w tym roku obrodziło wcale obficie.

Opodal mieści się pasieka, złożona z 5 uli. Jest to także teren pracy p. Marszałkowej, która ubrana w hełm ochronny, nieraz własnoręcznie wybierała miód dla swoich gości.

W tyle za dworkiem ciągnie się spory szmat lasu sosnowego, poprzerzynany alejami, wśród których rozmieszczono ławki ogrodowe z wygodnem oparciem. Tu było miejsce codziennego w le-

cie spaceru i odpoczynku p. Marszałka, o czem świadczą także poprzyczepiane do drzew skrzyneczki na ogryzki papierosów.

Las jest umyślnie utrzymany w stanie dzikim, nie wolno w nim trawy kosić, toteż rosną tam gęste osty i nie grabi się tam wcale ściółki, spadłej z drzew, żeby służyła za nawóz.

Tylko uschłe gałązki zbierały od czasu do czasu córeczki Marszałkostwa i za zebraną kobiałkę dostawały od Mamusi 5 gr. Taka bowiem była umówiona taksa na umówiony cel: obóz harcerski, który był ostatniem marzeniem Wandeczki i Jagódki o wizycie w obozie pod Wyszkowem.

Prócz lasu spacerowego ma „Mała Ulina" także zaczątek sadu i ogród warzywny od strony ulicy. Były tam kartofle i pomidory, były maliny i truskawki, ale spaliła je susza i te piaski, na których wyrosły. Wśród łanu wyki, łubinu i seradelli wznosi się majestatycznie staropolski żóraw, ciągnący wodę z ocembrowanej studni i dodający specjalnego uroku całej tej zagrodzie marszałkowskiej.

Stanąć tam ma jeszcze bliżej dworku gołębnik, aby w nim gnieździć się mogły te lotne gońce dla osobliwej swej służby. Pan Marszałek, przewidując, że nieraz jeszcze przyjdzie Mu się rozstać na pewien czas ze względów służbowych z rodziną, pragnie tą drogą z Belwederu korespondować z ukochanemi córeczkami swemi. Wkładać będzie karteczkę swoją do nich w obrączkę u nóżki gołębia pocztowego, a ten migiem poleci do Sulejówka ze słowami, które czułe serce ojcowskie podyktowało...

*

Biały dworek Marszałka Piłsudskiego w Sulejówku przejdzie niezawodnie do historji. Nie dlatego tylko, że widział w swoich murach nieraz co najprzedniejszych gości polskich i zagranicznych, ale że ukuła się niejedna doniosłej wagi myśl wielkiego Samotnika, powzięta w długich spacerach po mieszkaniu i parku, tu powstawały też najważniejsze Marszałka Piłsudskiego prace i artykuły.

Na wszystkie cztery strony świata ma dworek wyjście na zewnątrz, na ganki, tarasy i balkony.

Do głównego wejścia, ocienionego dzikiem winem, prowadzi parę szerokich schodów kamiennych. Potem niewielki hall z kręconymi schodkami na górę. Po tych schodkach kiedyś przed dwoma laty, gdy p. Marszałek w dzień swych Imienin był chory i życzenia przyjmował tylko w sypialni, snuł się przez parę godzin długi niekończący się sznur oficerów, którzy pragnęli tylko uścisnąć dłoń swego Wodza i w milczeniu skłonić przed Nim głowę na znak hołdu niewygasłego. Na wąskich schodkach mijały się te dwie fale ludzkie przypływu i odpływu, a stojący na dole Wieniawa dyrygował sprężyście tłumem, który zaległ cały dziedziniec przed dworkiem w oczekiwaniu na swoją kolejkę.

Na oficjalne przyjęcia służy salon, mieszczący się nawprost drzwi wejściowych i mający wyjście na szeroki taras od strony ogrodu kwiatowego.

Salon zawieszony cały obrazami i pamiątkowymi darami, których tu oczywiście jest tylko drobna część z tej olbrzymiej ilości prezentów, wciąż napływających z różnych stron do Belwederu.

Najstarszą chronologicznie pamiątką będzie niewątpliwie umieszczona na staropolskim kominku fotografja Ojca św. Benedykta XV z własnoręczną dedykacją dla Naczelnika Państwa. Data na niej 2. I. 1920 r. Cenny to dar, tem cenniejszy, że pochodzi od Papieża, który nie znał Polski. Od obecnego Ojca św., darzącego dom Marszałkostwa Piłsudskich serdeczną przyjaźnią, jest także sporo podarków w innych pokojach.

Obok fotografji papieskiej na kominku prezent najnowszy: olbrzymia kłódka stalowa z kunsztownie otwierającym się zamkiem, do czego trzeba używać aż pouczeń ze specjalnego opisu. Kłódka z dokumentami, bramkami i grawirunkiem, nosi też na swym odwrocie napis, że zmajstrował ją „75 lat stary Jan Kotarba ze Świątnik Górnych" (w Małopolsce). Jest to wzruszający dowód jaką miłością cieszy się u ludu Marszałek Piłsudski, skoro nawet staruszkowie nad grobem stojący, mozolą się nad podarkami, tak wiele wymagającymi pracy, byle Mu tylko zrobić przyjemność tym dowodem pamięci i oddania się.

W sąsiedztwie kominka w rogu na wysokim postumencie oryginalna rzeźba: dwa popiersia, splecione ze sobą w bratnim uścisku: Legjonisty i Dowborczyka. A u dołu napis z dedykacją „dla Naczelnego Wodza na pamiątkę wspólnej wieczerzy w dniu 11 marca 1921 r. od żołnierzy b. Pierwszego Korpusu Dowbór-Muśnickiego".

Po obu stronach tej rzeźby portrety: p. Marszałka — pędzla Jacka Malczewskiego, oraz Wandy i Jagódki, zasłuchanych w jakąś czarowną bajkę o pałacu na szklanej górze pod baldachimem tęczy. Bajkę tę opowiadał przed laty pozującym do portretu dziewczynkom artysta - malarz Nowocień, treść bajki biorąc równocześnie za tło do tego swego dzieła.

Na reszcie ścian jeszcze parę płócien, m. in. dar 3-go pułku strzelców kresowych: duży obraz Adamczewskiego, wyobrażający „Atak Budiennego" i wreszcie drobny rysunek piórkiem, który w lecie tego roku zaktualizowała tragedja w Jastarni. Twórca śp. Jerzy Winiarz padł tam ofiarą swego dobrego serca, dając życie za życie przyjaciela.

Tu w białym dworku pozostanie też na wieki dowód jego wiernego serca żołnierskiego, nieznającego kompromisów. Dał temu wyraz w charakte-

rystycznym swym rysunku, powstałym jeszcze przed wypadkami majowymi. W górę idzie jakaś ludzka, widziana tylko z tyłu postać, ale cała syl-

wetka pozwala domyślać się w niej Marszałka. Dokoła Niego sfora kilkudziesięciu wyjących psów. A u dołu napis:

„Idzie Człowiek — za nim huf
Szczekających wściekłych psów,
Nic nie mówię, ale wiem,
Kto Człowiekiem, a kto psem".

I podpis: „Swemu Komendantowi — Żołnierz Pierwszej Brygady".

Gdzieindziej signum autora „J. Winiarz. 1926"

Z saloniku wiodą z jednej strony drzwi do pokoju stołowego i kuchni, z drugiej zaś — do gabinetu p. Marszałka, który tu przy biurku niejedną chwilę spędził nad papierami. W kącie kanapa, na której najlepszy z ojców udziela specjalnych audjencji swoim córeczkom, wciąż mającym jakieś interesy do Tatusia.

Z gabinetu wchodzi się do pokoju gościnnego, skąd jest wyjście na boczny taras.

Nad nim to wznosi się ten piękny półkulisty balkon, który widać na obrazku. Najcenniejsze w całym domu miejsce, jeśli chodzi o zdrowie — jest to bowiem strona południowa, z której nigdy nie znika słońce, jeśli tylko wogóle jest na nieboskłonie.

Na balkon ten wychodzą drzwi od sypialni p. Marszałka, umyślnie tak ulokowanej, aby wciąż do niej promienie słoneczne zaglądały.

Obok sypialnia p. Marszałkowej i dwa pokoje dziecinne.

Ot i cały światek mieszkańców białego dworku, którym tak interesuje się chyba cała Polska.

Władysław Dunin Wąsowicz.

P. Prezydent Rzeczypospolitej o p. Marszałku Piłsudskim

Pan Prezydent Rzeczypospolitej udzielając warszawskiemu korespondentowi „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" kilka uwag, poświęconych osobie p. Marszałka Józefa Piłsudskiego — oświadczył:

Z Marszałkiem Piłsudskim łączą mnie stosunki od dawien dawna, od lat 34. Nieraz też miałem sposobność podziwiania jego pracy w różnych jej fazach. Muszę też przyznać, że przez cały okres czasu od roku 1894 w rozmaitych rolach widziałem go w jednej prostej linji idącego, linji jasnej i zrozumiałej dla mnie. Marszałek Piłsudski jest dla mnie człowiekiem wyjątkowym i wydaje mi się, że zanim zjawi się człowiek tej potęgi ducha, co Józef Piłsudski, przeminą wieki.

Wspomnienia z 1863 r.

I.

Gdy wybuchło Powstanie Styczniowe, liczyłem lat dwadzieścia i byłem u ojca mego, który posiadał gospodarstwo 200 morgowe w pow. Brodzkim.

Dawno to temu i lat kopę z góry upłynęło, gdy byłem młody, rzeźki i śmiały, a gdy dziś starą już głową moją cofnąć się muszę do tych lat, mogę jedynie wam opowiedzieć to, com przeżył jako powstaniec w r. 1863/4. Opowiadanie moje zawierać będzie pierwsze moje wrażenia i wymarsz z domu do zbrojnego oddziału, krótki opis bitwy pod Radziwiłłowem, po której to nastąpił mój drugi wymarsz z domu do formującego się oddziału w lasach Sokalskich, a to w dobrach ordynackich hr. Dzieduszyckich, spotkano towarzyszów dążących do oddziału, nasze starcia z moskalami i rocznicę powstania w miasteczku Iłża i połączenie się z dość liczną grupą rozbitków sławnego dowódcy Cwieka, walki naszego oddziału

Weteran z 1863 r. Rafał Hirsch.

w miesiącu lutym, ubytek i strata powstańców, wyprawę po prowianty, potyczki i przeróżne przejścia, wreszcie powrót w domowe progi na łono rodziny — i gojenie ran otrzymanych w potyczkach z moskalami.

* * *

Z końcem miesiąca czerwca 1863 r. szlakami ze wszystkich miejscowości Małopolski, cichem chrzęstem przemykała się wiara powstańców, na zew pod Radziwiłłów — a to do trzech formujących się oddziałów dla dowódcy gen. Wysockiego, który przybył z Paryża. Oddział 1-szy formował się pod dowództwem płk. Franciszka Hordyńskiego, oddział drugi pod komendą płk. Miniewskiego, oddział 3-ci formował gen. Wysocki.

Pierwszy oddział formował się w okolicach miejscowości Pieniaki, Podkamień, Popowce nad kordonem byłej granicy rosyjskiej i liczył około 400 ludzi; drugi oddział formował się w lasach berlińskich obok Brodów i liczył ludzi około 1000, w tem 200 piechoty; trzeci oddział formował się w lasach Łopatyńskich i liczył dobrze wyekwipowanych około 1200.

Wszystkie te trzy oddziały, pod dowództwem gen. Wysockiego, miały za zadanie: pułk. Miniewski od prawego skrzydła, płk. Horodyński od lewego i gen. Wysocki środkiem przebyć po około 30 klm. drogi i o godzinie 9-tej rano stanąć pod Radziwiłłowem.

Ojciec mój pracował jako komisarz wojskowy i miał dostawy dla oddziału gen. Wysockiego, który się zbierał, jak wspomniałem, w lasach, których właścicielem był Józef Mołodecki z Brodów. Tenże jako oficer gwardji carskiej, z wybuchem powstania kwitował z szarży swej i przeniósł się do dóbr swoich w Galicji. Rosja skonfiskowała rodzinie Mołodeckich posiadłości ich i rozdarowała czynownikom moskiewskim. Mówiono, że po powstaniu rząd carski proponował matce J. Mołodeckiego, by powróciła do poddaństwa imp. rosyjskiego, lecz matka również odmówiła. W lasach tych, wiekami ludzką ręką nie tkniętych, oddział Wysockiego się zbierał, ćwiczył się w musztrach, obchodzeniem się z palną bronią i t. p., ale — za paradnie, rozwlekle — bo zbierano się i obozowano przez sześć dni.

Przez czas ten zwożono prowianty, amunicję, mundury i wszystko, co na pochód wojenny było koniecznem i niezbędnem.

Nim i ja siadłem na konia w szwadronie strzelców konnych pod mjr. Tuczewskim a plutonowym por. Bobrowskim, z ojcem moim zwoziłem zasoby dla oddz., któremu niczego też nie brakowało. Tymczasem zadługo było już dla austrjaków tego naszego — że tak powiem — guzdrania się. 2-go albo 3-go lipca 1863 r. przymaszerował pełny szwadron jezdnych huzarów pod wodzą rotm., rodowitego Węgra, a przyjęty przez naszych, zażądał rotmistrz rozmowy z gen. Wysockim. Odprowadzony przez naszych razem z jego adjutantem do gen. i szefa sztabu Domagalskiego, po dłuższej pertraktacji, z czcią i okrzykiem ze stron obu: „elien a lengel! — elien a madiar! — elien ad haza!“ Węgrzy, odprowadzeni świtą naszą, opuścili obóz.

Rozkaz gen. Wysockiego, wydany w porę po-

łudniową dnia 3-go lipca, był następujący: „Zbierać się do wymarszu pod Radziwiłłów".

Pluton jazdy, w którym stałem, został odkomenderowany do arjergardy. Młodzież akademicka, szkolna, rzemieślnicza i t. d. — wszyscy ci dzielni młodzi rycerze, z porządku rzeczy — w jednolite płócienne mundurki, hajdawery i takież kiepi kroju francuskiego przywdziewali, a garderobę cywilną w sterty zrzucano.

Komendanci z mozołem stroili swoje kompanje i plutony — a wedle marszordynku oddział za oddziałem, przeplatany furgonami, z zapasową amunicją, bronią, bagażami i t. p., konwojowany oddziałkami kawalerji, wyruszał w pochód. Pluton moich strzelców konnych w arjergardzie dla nadzoru, t. j. zamykał ten pochód.

W tych puszczach leśnych drogi nie były ustalone — jedne dla wozów czumaków (po 4 woły u pociągu) handlujących „topkową" solą z warzelń Bolechowa i Doliny, znaczyli swój szlak drogi zacięciami na sosnach, drugie przesmyki i drużyny wiodły błędnym szlakiem, a służyły „przemytnikom" — bowiem miasto Brody nad kordonem rosyjskim obok Radziwiłłowa było jeszcze układem austrjo-rosyjskim miastem wolnem od wszelkiego cła i akcyz państwowych. Drożyny te zatem służyły przemytnikom i koniokradom, który to proceder był na wielką skalę uprawiany.

Oddział pod gen. Wysockim miał przewodnika. W porze południowej, w dzień wymarszu naszego, powietrze było parne, żywicę drzew szpilkowych czuć się dawało w powietrzu. Młodzież, nie wyszkolona w pochodzie, niedomagała, w marszu trzeba było wymijać bagna, wywroty, pnie i starych drzew korzenie — na dobitek popołudniu przed nocą rudobrunatne chmury zasnuły horyzont i nieba sklepienie — coś się trzęsło w ich zwarciach — łoskot i ryk — błyskawica za błyskawicą wzrok oślepiało, zawył wicher i złomem niebotycznych wierzchołków sosen lał deszcz, jak z konwy.

Odświeżyło to wprawdzie naszych, ale żołnierzyki, jakby z wody wydobyci, zlepieni mundurkami płóciennemi: zapasy w sakwach, przybory, ba, naboje (natenczas w papierowych tubkach wraz z kulą ołowianą okrągłą sporządzone) zamokły, niektóre rozlazły, podwody tren z przyborami w leśnych bagnach ugrzęzły, konie pociągowe ustały, w lesie noc ciemna — tylko przy błyskawicach i biciu z częsta piorunów utwierdzaliśmy się, że stąpamy jeszcze po leśnej drodze.

C. d. n.

Dnia 16 grudnia 1928 r. odbyło się we Lwowie odsłonięcie tablicy ku czci pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej śp. Gabryela Narutowicza.

Tablicę ustawiono na murach Warsztatów Lwowskiej Dyrekcji Robót Publicz., które to warsztaty śp. Prezyd. Narutowicz powołał do życia. Tablicę ufundowali urzędnicy i pracownicy Okr. Dyr. Robót i Warsztatów we Lwowie, dzięki niestrudzonych wysiłków kierownika Warsztatów inżyniera Lisowskiego, zasłużonego w bojach o Lwów.

JAN STAROŚCIAK.

Z Dywizją polską na Syberji

(Sierpień 1914 r.)

Żołnierze pułku przemyskiego, w którym odbywałem służbę wojskową od roku 1913, odpoczywali zasłużenie po całodziennych uciążliwych ćwiczeniach, spotęgowanych ze względu na stan wojenny Austrji. O godzinie 11 w nocy dnia 18 lipca 1914 roku otrąbiono alarm, gdzie po zebraniu się pułku ogłoszono rozkaz wymarszu z Przemyśla. O celu naszego wymarszu wiedzieliśmy, gdyż po ogłoszeniu rozkazu, wydano nam polowe mundury oraz amunicję, a także oficerowie pułku zwoławszy wszystkich podoficerów, w skład których i ja wchodziłem, oznajmili nam o nieuniknionej wojnie z Serbją i Rosją. Wiadomość ta wywarła na nas wielkie wrażenie.

Od powyższego czasu upłynął tydzień, użyty na ściągnięcie rezerw celem uzupełnienia pułku. Przemyśl, oko Austrji, zamienił się w olbrzymi obóz wojenny. Zalany wojskiem w szarych mundurach polowych, wszelkiego rodzaju broni, począwszy od piechoty do artylerji fortecznej, roił się od gorączkowego ruchu. Pociągi wysypywały niemal co kilka minut olbrzymie tłumy mężczyzn, których ubiór cywilny miał niebawem być zamieniony mundurem.

Wówczas to w noc lipcową piękną i gwiaździstą o godz. trzeciej zebrano pułk, odbierając od nas przysięgę na wierność Austrji. Po ukończeniu mszy polowej odegrano hymn austrjacki, którego żołnierze wysłuchali stojąc na baczność, a który dla większości był marszem pogrzebowym. Kapelan pułkowy, Polak, wygłaszając kazanie do żołnierzy, użył całego arsenału swego krasomówstwa, wpajając w żołnierzy dzielność i wierność. Odmalował nam w jaskrawych barwach krwiożerczego wroga idącego od wschodu pod wodzą strasznego tyrana Polaków — cara. „Wróg zagraża, naszej Ojczyźnie, cesarzowi i waszym rodzinom, jesteście żołnierzami, przeto powinniście spełnić swój obowiązek, walcząc do ostatniej kropli krwi". Pobłogosławiwszy wszystkich żołnierzy na drogę śmierci, zdołał rzeczywiście przekonać te tłumy i dodać im otuchę potrzebną najbardziej w tak ciężkiej chwili. Po wydanej komendzie, pułk ruszył sprężystym marszem przy dźwiękach orkiestry. Wygląd tej armji był zaiste imponujący, to też gdy pułk przechodził przez miasto, niezliczone tłumy ludności wyszły na jego spotkanie. Kobiety zasypywały przechodzących żołnierzy stosami kwiatów. Krzyki „niech żyje armja, niech żyje zwycięstwo" nie miały końca. Wszystko krzyczało „Niech żyje wojna", albowiem nikt z nich nie wiedział, co ona oznacza i jakie są jej skutki.

Przeszedłszy miasto, szliśmy drogą do Jarosławia, jednakże nie wiedzieliśmy dokąd zdążał pułk.

II.

Po dwudniowym uciążliwym marszu dotarliśmy do małej wioski, położonej o kilka kilometrów na północny wschód od Jarosławia, gdzie pozostawaliśmy dni czternaście na odpoczynku. Pobyt nasz miał na celu koncentrację całej dywizji. Gdy to doszło do skutku, nastąpił wymarsz całej dywizji, złożonej z czterech pułków, w kierunku Białogrodu, na ówcz. terytorjum rosyjskiem, gdzie oczywiście znajdywały się wojska nieprzyjacielskie. Przechodząc okolice lesiste, posuwaliśmy się w ordynku bojowym a nasze przednie straże napotykały oddziały kozackie, plądrujące na terytorjum austrjackiem. Częstokroć nasze patrole otwierały ogień karabinowy, podtrzymywany dzielnie przez przeciwnika.

Około południa w dniu 21 sierpnia stanęliśmy na granicy. Kompanja, w której służyłem, otrzymała rozkaz przekroczenia granicy, jako straż przednia, w tym celu została podzielona na plutony, te zaś na sekcje. Po sformowaniu szyku bojowego ruszyliśmy naprzód. Doszedłszy do słupa granicznego, wyrwaliśmy go i wrzuciliśmy do płynącej opodal rzeczki. Po naszej stronie stały baraki straży pogranicznej, opuszczone przez nieprzyjaciela. Znajdując się na terytorjum rosyjskiem, byliśmy dumni, że pierwsi przekraczamy granicę w nadziei, iż łatwo przyjdzie nam zawojować całą potęgę carską.

Ze swoją sekcją, złożoną z 12 ludzi, którą dowodziłem, posuwałem się na lewo od głównego oddziału, stanowiąc zabezpieczenie flanków. Droga prowadziła przez lasy, zarośla i bagna. Po półgodzinnym powolnym marszu spostrzegłem na lewem skrzydle w oddaleniu ćwierć kilometra silny oddział kozacki. Po wydaniu przyciszonym głosem komendy „kawalerja w lewo" zrobiliśmy momentalnie front, zasypując kozaków silnym ogniem naszych celnych karabinów.

W oddziele kozackim chwilę trwało zamieszanie, spowodowane naszemi strzałami, gdyż dopiero po naszych salwach nas spostrzeżono. Kozacy zorjentowawszy się, że atakuje ich nieprzyjaciel liczebnie słabszy, otworzyli ogień, który nie uczynił nam żadnych strat, albowiem potyczka miała miejsce w lesie bagnistym, będącym dobrym terenem dla piechoty, a nie dla kawalerji. Po paru minutowej wymianie strzałów kozacy odstąpili w panice, pozostawiając zwycięzcom trzy zabite konie i dwóch żołnierzy. To był nasz pierwszy sukces

wojenny, który urósł w naszych oczach na świetne zwycięstwo.

Po zabraniu trofeów wojennych, złożonych z dwóch karabinów, lanc, szabli i kindżałów, pogrzebaliśmy trupy poległych, a potem posuwaliśmy się w dalszą drogę lasami. Około godziny piątej las począł rzednąć i przed naszemi oczyma roztoczył się widok na pola i łąki, teren nie bardzo dla nas krzystny. Pułk nasz pod osłoną lasu gotował się na spoczynek. Sekcja moja została ściągniętą również i zastąpiona inną.

Noc ciemna i cicha, pełna groźnych tajemnic przebrzmiewała od czasu do czasu świegotem ptaków i kwileniem sów. Żołnierzy stojący na wedetach, cierpli ze strachu na odgłos ich przeraźliwego wycia a zabobonne przerażenie jeżyło im włosy. Wolni od służby spaliśmy snem twardym. Przekorny los spłatał nam figla, niedozwalając korzystać długo z tak cennego i zasłużonego odpoczynku. Nieprzyjaciel korzystając z ciemności nocy i naszego zmęczenia, podkradł się pod nasze wysunięte placówki, ściągając kilku żołnierzy, stojących na wedecie, przy której to operacji nie obeszło się bez strzałów. Każdy z naszych żołnierzy na odgłos strzelaniny zerwał się z smacznego snu w panicznej trwodze i porwawszy czemprędzej karabin, bez komendy zaczął strzelać. Łatwo sobie wyobrazić, co za piekielny wszczął się hałas i zamieszanie i jakie były następstwa. Po kwadransie takiego harmideru, gdzie wrzaski ludzi tłumiły niejednokrotnie głos strzałów, uniemożliwiając posłyszenia jakiejkolwiek komendy, dowódcy pułków kazali otrąbić zaprzestanie ognia. Po chwili ustała ta bezładna strzelanina, a z ciszy, która zapanowała, dały się słyszeć żałosne jęki rannych i charchoty umierających żołnierzy. Skonstatowaliśmy, że nieprzyjaciel dawno uszedł, my zaś biliśmy się ze sobą. Sanitarjusze, chodząc z latarkami, jak błędne ogniki, opatrywali rannych i znosili trupy poległych od własnych kul. Jednych i drugich naliczyliśmy około trzydziestu. I tak nasze pierwsze zwycięstwo opłaciliśmy dziesięciokroć wyższemi stratami.

O dalszym spoczynku nie było mowy. Wydano rozkaz ułożenia się w tyraljerę z frontem zwróconym ku łąkom. Około godziny drugiej po północi zeszedł srebrnolicy księżyc, oświetlając okolicę. O dwu do trzech kilometrów od naszej pozycji zauważyliśmy wieś, która służyła nieprzyjacielowi za ochronę, gdy podkradał się do naszego oddziału. Z nastaniem dnia okazało się, że straty nasze w zabitych były daleko większe.

Dyletantyzm naszych dowódców kosztował nas 41 zabitych i 18 ciężko lub lekko rannych.

Po oddaniu ostatniej usługi naszym poległym towarzyszom broni, ruszyliśmy szybkim marszem w stronę Białogrodu, pozostając nadal w przedniej straży.

Dywizja nasza pozostała w oddaleniu trzech kilometrów, która to przestrzeń zwiększała się w miarę naszego szybkiego posuwania się naprzód. Cały dzień spędziliśmy na forsownym marszu, niemal bez odpoczynku z wyjątkiem pół godzinnej przerwy, poświęconej na spożycie obiadu, złożonego z konserw i sucharów. Słońce prażyło niemiłosiernie. Żołnierze zwiesiwszy głowy opalone od słońca na kolor brunatny, włóczyli ociężale nogi, pobudzani ciągłą komendą oficerów do zachowania sprężystego kroku.

Okolica, którą przechodziliśmy, była niemal odludna a spotykane gdzieniegdzie zabudowania, należące do właścicieli leśnych Jutorów, były opuszczone. Nad wieczorem wyszliśmy z małego gaiku a w oddaleniu od nas okazała się mała góra, którą wedle poprzedniego planu mieliśmy obsadzić. Do góry tej zbliżyliśmy się prawie pędem w nadziei, że znajdziemy w końcu zasłużony odpoczynek. Po obsadzeniu, dowódca kompanji zwołał wszystkich podoficerów i wskazał nam oddalony o cztery kilometry las, zaznaczając, że jest on zajęty przez kawalerję rosyjską, my zaś stanowimy awangardę głównych sił, które nadejdą niebawem i obsadzą całą linję. Widniejący las swoją martwotą nie zdradzał bynajmniej, co kryje w swem wnętrzu.

Po otrzymaniu instrukcji od dowódcy kompanji rozeszliśmy się po naszych oddziałach, zabraniając żołnierzom palenia ognia, papierosów, głośnych rozmów i spania. Około godziny 10 wieczorem nadjechała kuchnia polowa, która swoim widokiem ucieszyła niezmiernie żołnierzy, ponieważ od trzech dni nie spożywaliśmy ciepłej strawy, żywiąc się nadzwyczaj skąpo małemi racjami konserw i sucharów. Kupowanie lub przyjmowanie pożywienia z rąk tamtejszej ludności było surowo zabronione.

Wojska nieprzyjacielskie ustępowały planowo, były one w niewielkich oddziałach i nie przyjmowały bitwy, cofając się ku głównym siłom, czem należy tłumaczyć nasze szybkie, bez przeszkód marsze.

Noc była ciemna, niebo pokryte chmurami. Od czasu do czasu powietrzem wstrząsał grzmot. Około godziny pierwszej w nocy zaczął padać deszcz. Zdawało się nam, że noc przejdzie spokojnie, jednakże po godzinie dostaliśmy rozkaz nałożenia bagnetów na karabiny i posuwania się ostrożnie w kierunku lasu, obsadzonego rzekomo przez kawalerję nieprzyjacielską. Z zachowaniem największych środków ostrożności dotarliśmy do lasu gdy zaczęło świtać. Las był zupełnie pusty, nieprzyjaciel wycofał się przypuszczalnie jeszcze poprzedniego wieczora. Przed nami roztoczył się widok na szerokie pola, poza któremi znajdowała się dość wysoka góra. Po połączeniu się z naszemi głównemi siłami, rozwiniętemi w tyraljerę, posuwaliśmy się dalej na szczyty.

Gdy tylko pierwsze głowy naszych żołnierzy wychyliły się z poza góry, nieprzyjaciel okopany na następnych wzgórzach otworzył huraganowy ogień z karabinów ręcznych i kulomiotów. Po stronie przeciwnika były wojska doborowe, gdyż nasz żołnierz, który tylko wychylił głowę nad poziom góry, padał ze strzaskaną czaszką. Prawie równocześnie zahuczały nad nami granaty i szrapnele nieprzyjacielskie, czyniąc straszliwe spustoszenia w naszych szeregach i powodując chwilową panikę, bowiem żołnierz nasz pierwszy raz spotkał się oko w oko z śmiercionośnemi kulami armat.

Zanim zabrzmiały pierwsze słowa komendy naszych oficerów, głuszone piekielnym trzaskiem ognia karabinów i hukiem artylerji, dziesiąta część naszych oficerów i żołnierzy broczyła krwią. Aczkolwiek z wielkiemi stratami w ludziach, obsadziliśmy górę gęstą tyraljerą, otwierając gęsty ogień karabinowy, kierowany ku nieprzyjacielowi znajdującemu się zaledwie o 300 — 400 metrów. Po dwugodzinnej zaciekłej strzelaninie zabrakło nam nabojów, wskutek czego zmuszeni byliśmy ruszyć do ataku. Ja dostałem rozkaz sygnalizowania do naszych rezerw zapomocą chorągiewki o dostarczenie amunicji. Wspiąłem się na najwyżej położony pagórek, powiewając chorągiewką w przepisany sposób. Po kilku już miarowych ruchach chorągiewką, zauważonych przez obie strony, nieprzyjaciel skierował ku mnie gęsty ogień, zasypując mnie gradem kul, z których jedna strzaskała drążek w dwóch miejscach, ja zaś momentalnie rzuciłem się o ziemię. Rzuceni do ataku żołnierze zostali prawie doszczętnie wytępieni ogniem karabinowym, nieprzyjaciel zaś korzystając z chwilowej naszej porażki zajął nam lewe skrzydło, kierując silny ogień z boku. Na dane przezemnie poprzednio sygnały nadbiegły rezerwy oraz amunicja, wzmacniając nasze szeregi niedobitków. Korzystając z tego, podniosłem się z ziemi i szczęśliwie pobiegłem do mojego oddziału, złożonego zaledwie z kilku żołnierzy, reszta to zabici lub ranni. Siły nasze wzmocnione drugą dywizją ruszyły z brawurą do ataku i po morderczej godzinnej bitwie rozbiły zupełnie wojska rosyjskie, zmuszając je do panicznej ucieczki. Artylerja nieprzyjacielska, aczkolwiek strzelała bezustannie, nie czyniła nam szkody, gdyż pociski były wysyłane za daleko, co można tłumaczyć tem, że cel był skierowany na górę przez nas opuszczoną.

Po zajęciu okopów nieprzyjacielskich, rola nasza była chwilowo skończoną. Dalsze trzebienie nieprzyjaciela dokonywały dwa pułki naszej kawalerji, które ruszyły do ataku, rąbiąc i tratując końmi niedobitków. Straty nieprzyjaciela w rannych i zabitych przenosiły po trzykroć nasze, prócz pojmanych jeńców rosyjskich w ilości około 800 ludzi.

Pozostali przy życiu żołnierze mieli możność oglądać poraz pierwszy obfite żniwo wojny.

Reszta naszej dywizji — a raczej jej niedobitków — będącej dotychczas awangardą, przeszła do rezerwy.

Na czoło naszej armji wysunęła się druga dywizja, która niezwłocznie poszła w ślad za uciekającym nieprzyjacielem.

Po spożyciu posiłku, dostarczonego nam przez kuchnię polową, udzielono nam całonocny wypoczynek, ograniczony jedynie w niesieniu pomocy oddziałom sanitarnym i saperskim przy znoszeniu rannych i grzebaniu poległych.

c. d. n.

Ze wspomnień o Kubie — Kazimierzu Bojarskim

W roku 1910 na wiosnę zjawił się u mnie w mieszkaniu przy ul. Jagiellońskiej 3 we Lwowie młody, bardzo ujmującej powierzchowności człowiek z listem od posła Daszyńskiego. Był to młodzieniec lat około 17, szczupły brunet postawie pełnej godności; wymienił nazwisko, podając równocześnie list. W liście prosi Daszyński, aby zająć się losem jego oddawcy, który zamierza osiąść we Lwowie, ukończyć szkołę realną, a później politechnikę. Na przeszkodzie temu pięknemu celowi stoi „tylko" brak środków i „tylko" zatarg z władzami, które go jako Królewiaka wydaliły z kraju. Miałem zatem wystarać się o zajęcie zarobkowe temu młodemu chłopcu i wyrobić mu pozwolenie na pobyt w b. zaborze austrjackim.

Zadanie to nie było łatwe. Listów podobnych otrzymywałem wiele, ale i bez listów klijentów takich miałem dużo. Byli to Królewiacy, którzy w okresie rewolucji w dużej ilości szukali tu pracy, chroniąc częstokroć życie, lub też członkowie organizacji wojskowej, przyjeżdżający na studja wojekowe, jako instruktorzy i t. d. Aby tym potrzebom sprostać, trzeba było mieć duże stosunki i wkładać w to dużo zabiegów i czasu. Z czasem jednak wyczerpywały się już wszystkie możliwości, brakło już nawet fantazji.

Tak było właśnie w czasie, kiedy z listem zjawił się Bojarski. Czytając list, przeszukałem w myśli wszystkie możliwości, nic jednak się nie nasuwało i z czystem sumieniem mogłem odprawić Bojarskiego z niczem, lecz cała jego powierzchowność i zachowanie tak były ujmujące, że odprawić go z niczem nie mogłem.

Zacząłem zatem od rzeczy, która wydała mi

się łatwiejszą, t. zn. od pogodzenia go z władzami i wyrobienia prawa pobytu w b. Galicji.

Zapytałem zatem, jak się ma sprawa — za co właściwie został wydalony z kraju? Odpowiedział, że przypadkiem był świadkiem jakiejś awantury na dworcu i tam go aresztowano i pozbawiono prawa pobytu w kraju — chodzi więc o to, by tu (w dawnem namiestnictwie) wyjednać cofnięcie tego zarządzenia.

Nie przewidując wielkich trudności, poszedłem z nim do dyrektora c. k. policji, dr. Reinländera.

Dr. Reinländer miał już wyrobioną opinję człowieka bardzo uczynnego i odnoszącego się z sympatją do działaczy zaboru rosyjskiego. Zresztą „wychował się" na zgromadzeniach P. P. S. D. Galicji (jak sam osobiście mówił) i wszystkie sprawy, związane zwłaszcza z walką o niepodległość były mu znane i bardzo bliskie. Toteż, jak zwykle, przyjął nas bardzo uprzejmie i z miejsca radził, jak mógł najlepiej.

W tym wypadku polecił wnieść na jego ręce podanie. Podał zatem papier, posłał po stemple i tak na papierze c. k. rządu w imieniu Bojarskiego „zamieszkałego obecnie na Węgrzech" prosiłem o cofnięcie zakazu i pozwolenie na pobyt w Galicji. Podanie to musiało odejść do policji w Krakowie o opinję, prosił zatem dyrektor, by równocześnie wysłać listy do Daszyńskiego lub dr. Marka, by w policji krakowskiej sprawę przyspieszono, aby policja krakowska możliwie dobrze je zaopinjowała.

Pożegnaliśmy się z dr. Reinländerem, który, żegnając obywatela, zamieszkałego na Węgrzech, upominał go, by nie zrobił w międzyczasie jakiejś awantury tu... we Lwowie!

Bojarski był zachwycony tym przebiegiem interwencji, nie mógł pojąć tego, że dyrektor policji austrjackiej mógł z taką życzliwością i tak szczerze zajmować się człowiekiem, szukającym tu schronienia. Zauważył równocześnie, że policja krakowska postępuje trochę inaczej...

Po tej wizycie rozstałem się z Bojarskim, prosząc, by za parę dni zjawił się u mnie ponownie, w nadziei, że wystaram się o jakieś zajęcie i równocześnie będę mógł coś powiedzieć o załatwieniu prośby wniesionej przez policję do namiestnictwa.

Na wiadomość nie trzeba było czekać nawet dni kilku — na trzeci bowiem dzień uruchomiono cały aparat policyjny, by doręczyć mi wezwanie do natychmiastowego zjawienia się u dyrektora policji. Nie przeczuwając, o co chodzi, wszedłem do dr. Reinländera. Ten, w tonie rozdrażnionym mówi do mnie, żem go gruntownie skrompomitował. Właśnie otrzymał telefoniczną wiadomość z policji krakowskiej, by poszukiwanego przez władze rosyjskie w porozumieniu i za zezwoleniem władz austrjackich „niebezpiecznego bandytę" Bojarskiego aresztować — a tymczasem ja wprowadzam go do biura jego, piszę podania w jego imieniu, przedstawiając rzecz, jakby chodziło o drobnostkę!

Znając dr. Reinländera, jego sympatje, której dowody dawał niezliczone razy w takich wypadkach, a nie znając zupełnie Bojarskiego, — w pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zaryzykowałem jednak, biorąc całkowitą odpowiedzialność, że jest przestępcą politycznym i bojowcem i nie może być mowy o bandytyźmie. To oświadczenie stanowcze uspokoiło dr. Reinländera ale wobec opinji krakowskiej policji o podaniu do namiestnictwa mowy być już nie mogło i w konsekwencji Bojarski musiałby ze Lwowa natychmiast wyjechać.

Mimo takiego przebiegu sprawy postanowiłem jednak dowiedzieć się od Bojarskiego samego, kto on jest i naturalnie żądać dowodów. Nie wiedząc o jego adresie, musiałem czekać, aż sam przyjdzie do mnie po wiadomości. Istotnie za parę dni zjawił się u mnie. Na wstępie z miejsca zawiadomiłem go, że jest poszukiwany przez władze ro-

Sp. Kuba Bojarski kapitan Legjonów.

syjskie przy pomocy władz tutejszych, jako oskarżony o bandytyzm, przyczem zrobiłem mu wyrzut, że nie powiedział sam o sobie nic, że epizod krakowski przedstawił mi zupełnie fałszywie i dlatego sam znalazłem się wobec władz tutejszych w trudnem położeniu, nie mogąc słowa odpowiedzieć na podniesione przez nie zarzuty. Dodałem przytem dość cierpko, że jeżeli żąda się od kogoś interwencji w tak ważnych sprawach, to ten ktoś ma prawo do zaufania.

Wszystko to stropiło Bojarskiego bardzo. Przepraszał mnie za przykrość, dodając, że jeżeli nie mówił nic o sobie i swoich czynach, to uważał to za pierwszy obowiązek bojowca i żołnierza sprawy polskiej. Słowa te powiedział spokojnie i twardo i zachował się tak, że uważać mogłem, iż rezygnuje już z wszelkiej pomocy.

Odpowiedź ta i całe zachowanie się mówiło

odrazu o wartości tego człowieka — patrząc na niego, powiedziałem sobie w duszy: Nie, przyjacielu, ja cię tu utrzymam za każdą cenę. Będziesz mieszkał we Lwowie, skończysz tu szkoły, przydasz się Sprawie — jesteś wart, aby wszystko dla ciebie uczynić, byś nie musiał tułać się wśród obcych.

Zacząłem już mówić w zupełnie innym tonie, że gdyby sam nie chciał się tu zatrzymać, to ja załatwię tak sprawy, że sam uzna, iż tu mu będzie najlepiej. Chcąc jednak poznać go bliżej, prosiłem, by jednak powiedział coś o sobie, przyda mi się to dla orjentacji i ułatwi przeprowadzenie planu. Pozatem, jest sam tak interesującym człowiekiem, że pragnę poznać go bliżej. Rozbroiło go to bardzo i przy herbacie opowiedział o swojej działalności bojowej. Opowiadając, nie budził jakiejkolwiek wątpliwości, że przesadza w czemkolwiek, że koloryzuje.

Na wstępie zaraz zauważył, że zapewne rząd carski dałby wiele za jego głowę, bo „przykrości" mu robił. A było ich tak wiele i tak śmiało i niespodziewanie przeprowadzonych przez Bojarskiego, że w Lubelskiem władze wszędzie widziały jego rękę. W Lublinie w biały dzień na najludniejszym placu położył trupem jakiegoś policyjnego dygnitarza — osaczony położył ich jeszcze kilku — i wyszedł z opresji cało. Niedługo potem jako członek jednej „piątki" miał z dwiema innemi piątkami wziąć pocztę kołową, konwojowaną w tych czasach przez oddział żołnierzy. W myśl planu ataku, miały go przeprowadzić trzy „piątki", jednak dwie z tych, natknąwszy się na oddziały wojska, nie nadeszły, z trzeciej piątki zaś, przyszło tylko trzech, z Bojarskim. A tymczasem poczta eskortowana oddziałem żołnierzy, nadjeżdża. W tej sytuacji Bojarski obejmuje komendę i nie zważając na tak przeważające siły, pocztę atakuje. Rozprasza oddział żołnierzy w ciężkiej walce, wychodzi cało i pocztę całkowicie zabiera, oddając całą zdobycz organizacji. Opowiadając to, mówił tak spokojnie i w taki sposób, jakby opowiadał o czemś zgoła drobnem, a wszystko wydawało się proste i naturalne. Poprosiłem go, by przyszedł nazajutrz, by podał mi swój adres, a ja zacznę działać, zapewniając, że wszystkie trudności, jakie się wyłoniły, pokonam.

Upewniony co do jego osoby, pod wpływem wrażenia, jakie odniosłem, poszedłem do dr. Reinländera i powiedziałem z miejsca: Podanie wycofuję, a pan, panie dyrektorze, pomoże mi, by Bojarski tu pozostał, ukończył szkoły i wyrósł na człowieka, który znajdzie sobie poczesne miejsce wnadchodzących czasach, wśród rycerzy, których one na pewno powołają. W pierwszej chwili dr. Reinländer przyjął te słowa z niepokojem, oświadczając: „Panie, cała policja we Lwowie go szuka, niech natychmiast wyjeżdża". Prosiłem, by cofnął to zarządzenie — odpowiedział, że tego uczynić nie może. Wtedy to powiedziałem, co myślę o Bojarskim i parę faktów z życia jego opowiedziałem. Dr. Reinländer był pokonany. Układamy więc plan już wspólnie.

Inż. Artur Hausner
poseł na Sejm.

Notatki

ZWIĄZEK STRZELECKI WE LWOWIE, po zatwierdzeniu statutu, zorganizował się w 1910 r.

Przewodniczącym wybrano inż. W. Sikorskiego, do wydziału weszli: inż. St. Downarowicz, dr. J. Hozer, dr. Konopacki, dr. T. Ostrowski, inż. Litwinowicz i K. Sosnkowski. Do komisji rewiz.: G. Daniłowski, dr. A. Lisiewicz, inż. H. Śliwiński; do sądu hon.: inż. K. Drewnowski, red. B. Laskownicki i inż. J. Miedziobrodzki.

Z prasy niepodległ. przed 1914 r.

(Z.). W wychodzącym we Lwowie tygodniku „Życie" w czasie od 1 października 1910 r. (Nr. 1—13) i w 1911 r. (od nr. 1—53) a w 1912 r. od nr. 1—9 t. j. do 2 marca 1912 r. ukazały się następujące artykuły treści wojskowej:

W nr. 1 z 1911 r. M. Dulębianka — „Już czas".

W nr. 2 z 1911 Br. Kostecki — „Ugoda czy Walka".

W 2, 3, 4. W. Orwid — „Józef Mirecki".

W 7, 8, W-i — „Zmiany w organizacji i dyslokacji wojska rosyjskiego".

W 9. M. Leliwa — „Antymilitaryści".

W nr. 21 z 13/5 1911. J. Piłsudski — „Kryzysy Bojów" — Odczyt.

W 24. W. Sikorski — „Reforma ustaw wojskowych w Austrji a najważniejsze problemy polityki polskiej".

W nr. 46, 49, z 1911 i w 1. z 1912. Z. Mittkowski — „O Powstaniach rzecz krótka".

„Życie" redagowane z początku przez G. Daniłowskiego, wydawał znany i zasłużony działacz niepodległościowy p. Hipolit Śliwiński inż. i poseł we Lwowie.

DRUŻYNY BARTOSZOWE.

(Z.). Wśród organizacji przysposobienia wojskowego przed 1914 r. w Galicji **„Drużyny Bartoszowe"** zajęły niepośledne stanowisko, mimo, iż z wybuchem wojny nie odpowiedziały swemu wojskowemu założeniu.

Pierwsze zawiązki Dr. Bart. znajdujemy, według sprawozdań Rady Naczelnej już z końcem 1908 r. w następnym roku również niewiele powstało oddziałów, dopiero od 1910 r. wzmogła się praca w Nacz. Radzie i w oddziałach.

Drużyny Bartoszowe, popierane silnie przez sfery ziemiańskie, zakładane były w b. Galicji przeważnie przez ludową młodzież akademicką, zbliżoną politycznie do nar. demokr., z odcieniem podolskim.

Celem „Drużyn Bartoszowych" było tworzenie i podtrzymywanie samoistnych ognisk polskiego życia kulturalnego po wsiach zagrożonych przez rozhukany żywioł ukraiński. Drużyny Bartoszowe miały dwa znamiona t. j. **charakter wiejski i charakter bractwa wojskowego.**

Według IV. sprawozdania Rady Naczelnej D. B. obejmującego działalność do 31/8 1913 było w tym czasie 172 drużyn, w tem oddziałów żeńskich 36. Członków 6.358. Ćwiczeń wojskowych odbyto 3.549, wykładów 648 i obchodów 181.

Wedle tegoż spawozdania założono w 1908 r. 5 oddziałów, w 1909 — 5, w 1910 — 5, w 1911 — 32, w 1912 — 55, w 1913 — 70, razem 172.

W 1913 r. urządzono 5 kursów wojsk. dla instruktorów w których brało udział 126 członków, reprezentujących 60 drużyn.

Pierwszym naczelnikiem głównym był W. Dajczak, dziś inżynier i zasłużony działacz z czasów Obrony Lwowa. Zastępcą był Stefan **Pasławski**, dziś generał i dca O. K. VIII.

Na Walnym Zjeździe dnia 1. listopada 1912 r. wybrany został głównym naczelnikiem **Stanisław** Bac, dziś inż., zasłużony członek Komendy Obrony Lwowa w 1918 r.

Wydział wojskowy wydał kilka regulaminów w tem w roku 1910 **Regulamin musztry piechoty**, opracowany na podstawie regul. austr. 1911, japońskiego 1909, i pruskiego 1906 z zachowaniem brzmienia komend i terminów wojsk z 1831 i 1863 r. (Stron IV. + 139).

Wydano również „Regulamin ćwiczeń wolnych", „Regulamin ćwiczeń kosą", „O prowadzeniu patrolów wywiadowczych" i „Junak, podręcznik dla prowadzenia oddziałów junackich".

Organem Dr. Bart. było czasopismo ludu polskiego „Dzwon", które rozpoczęło wychodzić dnia 15 maja 1911 r. we Lwowie. W tymże roku wyszło 15 numerów Dzwonu w 1912 r. przemieniony zostało na dwutygodnik.

W 1913 r. wyszło 51 numerów, zaś w 1914 r. 32 numerów „Dzwonu".

W „Dzwonie" umieszczała Rada Naczelna Drużyn wszelkie komunikaty, mianowania, odezwy, ogłoszenia, wezwania, raporty, walne zjazdy, a także i okólniki, których w 1911 r. wydano 12, w 1913 — 28, w 1914 wydano 20 rozkazów.

Pozatem umieszczane były korespondencje z życia „Drużyn" na prowincji, wiadomości personalne i zarządzenia dla poszczególnych oddziałów. Również chorągwie okręgowe zamieszczały swe zarządzenia i rozkazy w „Dzwonie", który wskutek tego stał się dość poczytnym wśród ludu włościańskiego.

Z wybuchem wojny, Drużyny Bartoszowe znalazły się Centralnym **Komitecie Narodowym** i dopiero rozkazem Nr. 65 z 9 sierpnia 1914 r. zarządziły mobilizację swych członków, pozostałych z ogólnej austr. mobilizacji.

Z końcem sierpnia zlane z innymi oddziałami w niewielkiej ilości wyruszyły ze Lwowa Drużyny Bartoszowe z **Legjonem Wschodnim** i uległy losowi tego Legjonu. W Legjonach Polskich znalazło się później wielu Bartoszowców, a wielu z nich do dziś dnia pozostało w wojsku polskiem.

Drużyny Bartoszowe nie wykazały spodziewanego wysiłku w walkach 1914 — 1918 r. jednak młodzież wiejska, zorganizowana w tych Drużynach gromadnie znalazła się w szeregach wojska polskiego i tam spełniła swój obowiązek. Stwierdzić należy, że wieś polska przyjęła ówczesne organizację Dr. Bart. nader przychylnie, a młodzież chętnie stawała w tych szeregach.

Że polityczne czynniki nie dopuściły w 1914 roku do skonsolidowania całego ruchu zbrojnego w Legjonach to nie jest winą tych organizacji.

W krótkim szkicu nie możemy dokładnie przedstawić całości zamierzeń i pracy Drużyn Bartoszowych: zrobią to inni. Notujemy tylko dla pamięci — to, co z znajdujących się u nas sprawozdań i pism mogliśmy wyciągnąć i to co dla ogólnego zobrazowania tej organizacji potrzebnem było do umieszczenia w naszej kronice.

Stwierdzamy jeszcze jedno: do dziś są jeszcze w niektórych miejscowościach domy, czytelnie, biblioteki i t. d. własności b. Drużyn. Rzeczą odpowiednich czynników byłoby zregenerować oddziały i powołać do życia przysposobienie wojskowe szerszych mas chłopskich, które chętnie lgnęły do Drużyn Bartoszowych i dziś jeszcze chętnie widziałyby je na wsi. Naturalnie musiałoby to być wyłącznie p. w. bez jakichkolwiek domieszek partyjnych i politycznych.

Notatki.

W 1812 r. kiedy o mało nie nastąpił wybuch wojny i gdy po przemówieniu ministra obrony krajowej w parlamencie austr., nastąpiła częściowa mobilizacja — przez powoływanie na ćwicze-

nia, poseł hr. Mikołaj Rej z Pilzna w Małopolsce — tak się tem przejął, że postanowił w okręgu swym powołać do życia milicję, względnie gwardje miejskie dla obrony miast „przed grabieżą przechodzących wojsk i ewentualnych band, które zazwyczaj tworzą się w czasie wojny".

Na zebraniu rady gminnej w Pilznie po przedstawieniu położenia w państwie przez posła hr. Reja uchwalono uruchomić gwardję, która istniała jeszcze za czasów Rzeczypospolitej a której statuty zginęły w czasie pożaru. Postanowiono zamienić gwardję tę na zbrojne korpusy dla obrony miasta. Gwardja taka miała zostać powołaną w Pilznie i w Brzostku.

Poseł Rej interweniował u Ministra Obrony Krajowej, który polecił wznieść odpowiednią prośbę i przyrzekł wydać wojskowe karabiny.

Zarząd gminy wniósł także podanie projektując urządzenie strzelnicy w Pilźnie i Brzostku, przygotowania szpitali i oddziałów czerwonego krzyża a także przeistoczenie Straży Pożarnej na oddziały tej milicji.

Wniosek ten odszedł do Namiestnictwa we Lwowie, które w krótkiej drodze nie zezwoliło na to, wychodząc zdaje się z założenia, że niema obaw powtórzenia się roku 1846... a także, że „silnej armji" austr. takiej pomocy lokalnej nie trzeba.

Notujemy fakt ten, by wskazać, że pewnym sferom nie na rękę były rozwijające się ówczas Oddziały Związków i Drużyn Strzeleckich, starały się więc o „własne wojsko, co przecież — na wypadek zawikłań wojennych doprowadzić mogło do lokalnych zaburzeń i walk domowych.

Dla Ciebie Polsko!

(pseud. lit. Jan Fersten).

Dnia 10 listopada roku 1920, w szpitalu garnizonowym w Zamościu, umarł, opatrzony św. sakr. w dwudziestej pierwszej wiośnie życia — Roman Eminowicz.

„Kule mnie się nie czepiają, choć roboty mam bez ustanku nadmiar", pisał do przyjaciela 23-go sierpnia; wkrótce potem, 10 października, w bitwie pod Nowogrodem Wołyńskim kula bolszewicka przeszyła mu kręgosłup i płuca. Rany były śmiertelne, nie ocaliła go ani młodość, ani ochota do życia, ani opieka lekarska, ani modlitwy Rodziców... Serce się kraje, czytając jego wyznanie w liście, pisanym na miesiąc przed bitwą: „Prawdę rzekąc, nie chciałbym wcale umierać — warto zobaczyć jeszcze zawartość i wartość dalszych moich lat — a także lękam się kalectwa. Czasem wydaje mi się, że, gdyby nagle ustało życie to — a zaczęło się jakieś inne — to może stanąłbym na jakimś niższym stopniu ewolucji, niż dziś — i może gdzieś tam czułbym się obco, tak, jak gdyby mnie np. zrobiono Robinzonem i gdybym musiał samodzielnie — fizycznie — wyrębywać sobie każdy krok i możność życia. Lękam się tej fizycznej zależności. Chodzi przecie o wyzwalanie ducha".

„Wyzwalanie ducha": oto w krótkich słowach zawartość i wartość życia Eminowicza od lat niemal dziecięcych aż do śmierci.

Z natury obdarzony wielkiemi zdolnościami umysłowemi, zarówno ogromną ciekawością intelektualną, jak nadzwyczajną wrażliwością estetyczną, a do tego czując w sobie iskrę Bożą — rwąc się do muzyki i poezji — już jako uczeń gimnazjum imienia Sobieskiego w Krakowie pielęgnował i rozwijał te wszystkie dary przyrodzone, już wtedy ze świętym zapałem młodzieńczym pracował nad „wyzwalaniem ducha". Nie było zaś w tej pracy nic samolubnego; nie poprzestawał ani na ciągłem kształceniu się, ani na twórczości poetyckiej, tego wszystkiego było mało jego dobremu, kochającemu sercu: pragnął, aby jego własny wyzwalający się duch promieniował na innych, na kolegów szkolnych, więc stał się organizatorem ich życia umysłowego i artystycznego: urządzanie odczytów i wieczorów dramatycznych należało do jego ulubionych zajęć.

W listopadzie r. 1917, będąc podówczas uczniem klasy ósmej, rozpoczął Eminowicz służbę wojskową — w Legjonach, jako kawalerzysta 2-go pułku ułanów. Podzielił z nim znane powszechnie losy. Kilka miesięcy przebył w obozie internowanych na Węgrzech, póki go wraz z innymi jeńcami nie wywieziono do Udine. W końcu czerwca r. 1918 powrócił do Krakowa, a na jesieni zapisał się na wydział filozoficzny Uniw. Jagiell.

Lecz wykłady trwały kilka dni zaledwie: młodzież uniwersytecka, co szlachetniejsza, pospieszyła na odsiecz Lwowa — w jej szeregach był oczywiście i Eminowicz. Należał do pierwszej polowej kompanji bataljonu akademickiego, którą w grudniu przydzielono, jako oddział szturmowy, do pociągu pancernego „Śmiały".

W kwietniu r. 1919 przeniesiono go z frontu ukraińskiego na litewsko-białoruski.

Zapadłszy ciężko na zdrowiu, spędził lato w sanatorjum wojskowem w Zakopanem, na jesieni zaś pawrócił do Uniwersytetu. Całą duszą

oddał się nauce, pracy literackiej oraz działalności w Akademickiem Kole Artystyczno - literackiem, którego był sekretarzem. Nosił się z myślą założenia miesięcznika „Symposjon", który miał być wyrazem nowych kierunków artystycznych w poezji, a tymczasem organizował wieczory żywego miesięcznika „Symposjonu", na których sam wygłaszał słowa wstępne, wyjaśniające istotę nowych prądów.

Lecz nawała bolszewicka runęła na Polskę i znowu zerwała się do boju młodzież akademicka: w lipcu r. 1920 na pamiętnym wiecu w sali Kopernika uchwaliła, jak jeden mąż, zaciągnięcie się do szeregów.

Dnia tego widziałem Eminowicza po raz ostatni: mówił, że się czuje bardzo osłabionym i zmęczonym, że tak bardzo by pragnął poświęcić się swojej ukochanej nauce i twórczości poetyckiej. Ale nie wahał się ani jednej chwili, ani na jedną chwilę nie sprzeniewierzył się hasłu swego ukochanego poety: „Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy". Proponowano mu miejsce w kancelarji wojskowej, namawiano go, żeby wstąpił do szkoły oficerskiej; odrzucił jedno i drugie i, pomimo zrujnowanego zdrowia, zgłosił się jako ochotnik-akademik do oddziałów bojowych w Rembertowie, a stamtąd poszedł na front południowy... i już nie wrócił... Praca nad „wyzwoleniem ducha" była skończona...

Dowództwo Naczelne zamianowało „plutonowego śp. Romana Eminowicza za nadzwyczajne zasługi, położone w obronie Ojczyzny, a okupione śmiercią, wskutek ran odniesionych na froncie, podporucznikiem 45 pułku strzelców kresowych".

Nominację tę wyprzedził szereg odznaczeń, przyznanych Mu za udział w walkach w obronie Lwowa, o Wilno i na kresach wschodnich, jakoto: Order „Virtuti MDilitari" za uratowanie stacji kolejowej i pociągu pancernego pod Sądową Wisznią; „Krzyż walecznych" za akcję wypadową w okolicy Zwiahla, podczas której przy zajęciu wsi Niemielanki został ciężko ranny; ponadto honorowe odznaki „Orlęta", „Gwiazda Przemyśla" i „Krzyż za Wilno".

(Z życiorysu pióra prof. Ignacego Chrzanowskiego, zamieszczonego na wstępie do tomu poezji R. Eminowicza „Basileus")

Marjan Stanisław Schwetz

ppor. 3. lw. p. art. p. 3 baterji zginął śmiercią bohaterską w walkach pod Jarycowem dnia 27 sierpnia 1920 r.

W czerwcu 1915, sam młody żołnierz, werbował tajnie i odjeżdża z pierwszym transportem do Piotrkowa. W parę tygodni później już jest w polu, początkowo w 6 p. p. Leg. polskich, później w 1 p. art. Walki pozycyjne nad Styrem, ofenzywa Brusiłowa, wszystko to przeszło nad jego głową. Niewoli w Huszcie cudem uniknął.

Pracuje we Lwowie jako peowiak. W pierwszych dniach wojny ukraińskiej walczy pod Chyrowem i bez przerwy na froncie, aż do ostatnich dni. Muzykalny, poetycki jego umysł wywierał na otoczenie silne wrażenie. Zginął na swym posterunku od granatu jak na artylerzystę przystało.

Bogumił Bończa-Skarzyński

ppor. 4 p. s. k. zginął tragicznie 6 marca 1920 r. pod kołami pociągu w Tarnopolu. Służył w 2 p. uł. legj. od 1914 r.; liczył lat 25.

Stanisław Sas Nowosielski

podchor. pociągu „Kaniów", ur. w Krakowie 1898 r. przeszedł kampanję w 2-giej Brygadzie, pod Rarańczą dostał się w ręce Węgrów, poczem walczył na froncie włoskim; w 1918 r. we Lwowie, a dnia 20 marca 1920 r. zginął w pojedynku z pociągiem panc. bolszew.

Kazimierz Kunicki

Urodzony 20 marca 1898 w gubernji Stauropolskiej, powiecie Aleksandrowskim, zapisał się po ukończeniu szkół średnich na wydział inżynierji w Instytucie politechnicznym Kijowa. Jako słuchacz drugiego roku wstąpił do szkoły oficerów artylerji w Odessie, został tamże mianowany 25 maja 1917 podoficerem, a po ukończeniu przyspieszonego kursu 15 sierpnia 1917 chorążym ciężkiej artylerji polowej i wysłanym na front przeciw wojskom niemieckim.

Po wybuchu rewolucji w Rosji i rozpadnięciu się armji carskich miał zamiar wstąpić do oddziałów generała Dowbór - Muśnickiego, stojących wówczas w Mohilewszczyźnie, tok wypadków wojennych stanął atoli na przeszkodzie zrealizowaniu tego zamiaru. Przybył do Kijowa w celu kontynuowania studjów technicznych i stwierdził tutaj, niestety, rychłą wiszącą nad Ukrainą grozę bolszewicką. Znaczna część rodzin polskich wysyłała swych synów za granicę, aby uniknęli zemsty bolszewików, jaką wywierali zwłaszcza na oficerów armji carskiej. Przybywszy do Krakowa, wstąpił Kunicki 19 lutego 1919 w szeregi wojsk polskich, odbył tam szkołę pilotów, następnie zaś wyższy kurs szkoły lotniczej w Ławicy, poczem wobec [illegible] nawały bolszewickiej wywołano go na front w okolice Kamieńca Podolskiego.

Wedle niestwierdzonych wieści miał zamiar w czasie służby zasięgnąć języka o losie rodziny, jaką pozostawił w Kijowie, gdzie po cofnięciu się wojsk polskich zapanowały orgje szpiegowskie i szalony terror bolszewicki.

Zgłosił się więc pewnego dnia wraz z pilotem podchorążym Bochenkiem do lotu na plac bojów i wyruszył jako ochotnik w drogę.

Przesłuchiwany jako świadek przez Komendę sierżant pilot Stanisław Tondis podał, iż Bochenek i Kunicki zostali strąceni przez bolszewików w locie nad Miropolem. Kunicki był postrzelony w głowę, Bochenka żyjącego jeszcze zarąbali bolszewicy szablami. Zwłoki ich pokryte nawozem i szczątkami samolotu, pogrzebano w północnej stronie Miropola w pierwszej wiosce, idąc od toru kolei, wiodącej do Berdyczowa.

Józef Białynia Cholodecki.

* * *

Śp. Ślepicki Jan z 1 komp. II. Baonu 2 p. p. (1 Brygady L. P.) poległ w okolicy Koszyszcz, lecz miejsce jego mogiły jest nieznane. Do Leg. Polsk. wstąpił on w listopadzie 1914 r. w Limanowej, podczas pobytu tamże oddziałów 1 Bryg. Leg. Polsk. Dano mu zaraz karabin i razem z dwoma innymi wysłano na patrol, z którego przywiódł 5 jeńców rosyjskich. Pod Koszyszczem poległ dn. 7. października 1915 r. na patroli.

Pozatem polegli i pochowani są koło Koszyszcz „Czwartacy":

Piaseczny Piotr O. K. M. 3. poległ dnia 1. października 1915 r., Przybysz Stanisław 10 komp. poległ dnia 31. października 1915 r., Sepeniuk Jan. O. K. M. 3. poległ dnia 1. października 1915 r., Strzelbicki Kazimierz. 8 komp. poległ dnia 8. października 1915 r., sierżant Szymański Henryk, 3 komp. poległ dnia 5 października 1915 r., Wujek Marjan, oddz. telefon 4 pp. poległ dnia 31. października 1915 r., Dyrka Alfons, 2 komp. poległ dnia 1. października 1915 r., por. Klisiewicz Józef. O. K. M. 3. poległ dnia 1. października 1915 r., Kopczyński Jan, 12 komp. poległ dnia 30. października 1915 r., Kuś Stanisław, 10 komp. poległ dnia 30. września 1915 r., Mucina Józef. O. K. M. 3. poległ dnia 1. listopada 1915 r.

* * *

Aumer Tadeusz, ur. w 1902 r., uczeń Szkoły przemysłowej we Lwowie, w dniu najazdu ukraińskiego, mając wówczas lat 16, zgłasza się jako ochotnik do szkoły Sienkiewicza i bierze udział we wszystkich walkach. W r. 1920 staje w szeregach ochotników grupy maj. Abrahama przy konnych karabinach maszynowych. Na prośby matki, która mając dwóch starszych synów na wojnie bała się o najmłodszego, niedoświadczonego, odpowiedział: „Moim obowiązkiem iść walczyć, bo gdy wszyscy będziemy się od tego uchylać to lada dzień bolszewicy zajmą Lwów". Brał udział w walkach pod Zadwórzem, gdzie został raniony w rękę, lecz nadal pozostawał w polu. Dnia 6. września 1920 r. pod Chodorowem otoczony przez bolszewików, broni się do ostatka, chcąc jeszcze uratować konia z karabinem maszynowym a w chwili, gdy nie mógł konia wyplątać z drutu kolczastego, zostaje zarąbany przez bolszewików.

* * *

Ś. p. por. Twardowski, d-ca 4 kompanji 30 p. p. strzelców kresowych należał do garstki dzielnych obrońców fortu i m. Dubna, która straciwszy kontakt z walczącymi na skrzydłach oddziałami, bohatersko broniła miasta do ostatka. Gdy jednak znikła nadzieja uchronienia go przed bolszewicką nawałą, garstka obrońców podzieliła się na grupki i przebojem torując sobie drogę przez gęsty pierścień czerwonych najeźdźców, cofnęła się wgłąb za odstępującą armją. Wielu zginęło, wielu jednak danem było jeszcze przyczynić się do zwycięstwa oręża polskiego nad Wisłą.

W rozgardjaszu bitewnym ś. p. por. Twardowski znalazł się nagle sam jeden na polach wsi Kamienicy, leżącej w pobliżu fortu (gm. Werba pow. Dubno). Nie widząc nigdzie żołdaków i szarańczy bolszewickiej, zbliżył się do zabudowań wiejskich i tu został napadnięty przez otumanionyc i zezwierzęconych przez najazd i propagandę bolszewicką włościan wspomnianej wsi, którzy torturowali go przez cały dzień, póki nie wyzionął ducha.

Barbarzyńcy znieważając go i znęcając się w najokropniejszy sposób, przywiedli go do jednej z chat, gdzie dwaj krasnoarmiejcy, obdarłszy go doszczętnie z odzienia, nie szczędzili mu również tortur i zniewag. Oddali go potem z powrotem rozbestwionej tłuszczy wiejskiej, która z iście zwierzęcą okropnością znęcała się nad nim od rana do wieczora, bijąc, kopiąc i szarpiąc nieszczęśliwego, aż do chwili, gdy w pyle wioskowej drogi w zakrzepłej krwi własnej legł zamordowany polski oficer. Wykopano mu wówczas grób za stodołą na końcu wsi i pochowano nagiego...

Dopiero w styczniu 1925 r. towarzysze broni zamordowanego odnaleźli jego grób i zebrali materjał dowodowy, aresztując sprawców zabójstwa.

Dnia 25. stycznia 1925 r. odbył się z należnymi honorami pogrzeb ś. p. por. Twardowskiego, którego zwłoki spoczęły we wspólnej mogile na forcie dubieńskim.

OD REDAKCJI I ADMINISTRACJI.

Na apel nasz w ostatnim numerze Panteonu Polskiego wielu czytelników zwróciło się do nas z wezwaniem do dalszego wydawania pisma.

Wielu pospieszyło z oświadczeniem, że składa podwójną przedpłatę, wielu znów zwerbowało nowych prenumeratorów.

To liczne uznanie ze strony dotychczasowych Czytelników i Współpracowników dodaje nam tyle otuchy i tyle osobistego zadowolenia, że mimo takiego deficytu i braku pomocy, a nawet i zainteresowania ze strony czynników miarodajnych — próbujemy i ten rok przejść przebojem i wydajemy zeszyt na Styczeń 1929 r.

Wysyłamy zeszyt 52 na okaz w większej ilości. Zwracamy się przeto do naszych dotychczasowych prenumeratorów z prośbą **o odnowienie przedpłaty na rok lub półrocze, względnie kwartał b. r. a także o zjednanie jednego bodaj nowego czytelnika.**

Również prosimy tych, którym zeszyt ten wysyłamy na okaz, by zechcieli **zeprenumerować „Panteon Polski“**, względnie, by za zatrzymany egzemplarz **wysłali załączonym czekiem** kwotę 90 groszy, bo tyleż wynosi cena pojedynczego egzemplarza.

Dziękujemy raz jeszcze tym, którzy uznając doniosłość gromadzenia materjałów z czasów naszych walk o wolność, spieszą z pomocą redakcyjną i materjalną i przesyłamy Wszystkim najserdeczniejsze życzenia:

SZCZĘŚLIWEGO I DOBREGO ROKU!

Wydawnictwo

Panteonu Polskiego we Lwowie. — Skrytka 98.

Z zeszytem niniejszym rozpoczynamy druk wspomień z czasów sybiryjskich p. **Jana Starościaka**, uczestnika walk V. dyw. syb. i autora b. cennej książki **„Czerwone, żółte i białe katy“**, a które administracja wysłać może czytelnikom naszym po otrzymaniu 2 zł.

Autor przedstawia w swem wspomnieniu czasy wojska polskiego w Syberji na podstawie własnych obserwacji i przejść, przyczem rzuca nader ciekawe światło na ówczesne stosunki w Dywizji Syb.

Jedniodniówka Legjonowa, wydana z okazji poświęcenia sztandaru Związku Legjonistów w Pabjanicach, (dodatek do Gazety Pabjanickiej) poza pięknem słowem wstępnem K. Staszewskiego p. t. „Legjony Piłsudskiego“, W. Godlewskiego „Kartki z pamiętnika Legjonisty“, zamieszcza kilka ilustracyj z przeżyć Pabjaniczan w Legjonach i kilkadziesiąt wspomnień i fotografii poległych w bojach o wolność od 1914 — 1921 młodzieży pabjanickiej.

Pabjanice postanowiły ufundować pomnik żołnierza polskiego, dla uczczenia Wodza i żołnierza. Pomnik ten stanie na tle starego kościoła i przedstawia Legjonistę; na cokole znajdować się będzie popiersie Marszałka.

Projektował ten pomnik art. rzeźbiarz M. Lubelski.

Poświęcenie fundamentów odbyło się dnia 11 listopada 1928 r.

Komitet z starostą p. Janem Wallasem na czele przy współudziale wybitniejszych osób żywo zakrzątał się około budowy tego pomnika.

Pozatem Gazeta Pabjanicka z 2 grudnia 1928 (Nr. 49) umieściła obszerny artykuł redaktora K. Staszewskiego o „Rozwoju Idei Legjonowej w Pabjanicach“, a także przedstawiła genezę powstania i działania Zw. Legj. w Pabjanicach. P. Prez. o Marszałku Piłsudskim.

Tym Czytelnikom, którzy zamówili książkę p. t. **„Józef Piłsudski o Sobie“** załączamy książkę tę do zeszytu za Styczeń b. r.

Kto otrzymał „Panteon Polski“ i niema zamiaru prenumerować — niechaj zwróci ten zeszyt, względnie niechaj uiści kwotę 90 gr. odnawiając dalszej przedpłaty.

Przyjmujemy do druku pamiętniki, wspomnienia, notatki i fragmenty z czasów prac w Związku Strzeleckim i walk w Legjonach. Również prosimy o zdjęcia fotograficzne i rysunki.

Wszelkie prawa przedruku bez osobnego pozwolenia zastrzeżone.

Bibljografję Legjonów Polskich przygotowuje do druku wydawnictwo Panteonu. Dla ewentualnego skompletowania prosimy czytelników o nadesłanie nam (za zwrotem) posiadanych odezw, druków, broszur etc. z czasów 1914—1918 dotyczących Legjonów.

Odnowić przedpłatę na I. kwartał. Kwotę przesłać blankietem pocztowej kasy oszczędności Nr. 152930.

W następnym miesiącu wstrzymamy wysyłkę tym, którzy nie odnowią przedpłaty.

Poszukujemy Nr. 2, 4. 6, 27, 28 i 40 — zapłacimy podwójną cenę.

Redaktor przyjmuje codziennie od 3 do 5 pop. przy ul. Listopada 81.

DRUKARNIA
„SZTUKA"
LWÓW
plac Strzelecki 2.
TELEFON Nr. 42-58
Wykonuje wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące po najtańszych cenach.

Józef Piłsudski o sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu. kilkadziesiąt ilustracji.

Nieznane opisy z życia Komendanta. przewijające się od dzieciństwa w Żułowie. poprzez lata szkolne, sybirskie szlaki, katorgi i wygnanie w Tunce. X pawilony, przygotowania do ruchu zbrojnego. poprzez organizacje Strzelca, walki w Legjonach. Magdeburg i Naczelnikostwo Państwa, poprzez lata walk o wolność w 1920 r. i wreszcie do ostatnich czasów, wszystko opowiedziane, wzgl. opisane przez Marszałka w różnych czasach i okolicznościach.

Książka nieodzowna przy uroczystościach. przemówieniach i t. p.

Każdy Polak powinien poznać życie WIELKIEGO CZŁOWIEKA naszej doby, zwłaszcza z Jego własnych słów.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej. Nauczycieli i Bibljotek publicznych i naszych rocznych prenumeratorów cena zniżona

tylko 8 zł. opłatnie.

(Oprawiona w płótno z złoconym napisem zł. 12 opłatnie).

Zamówienia prosimy skierować pod adresem Administr. „Panteonu Polskiego" Lwów Skrytka 98

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF. „ARS". SYKSTUSKA 52. DRUK. „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.